

Edmund  
Jezierski

ZWYCIĘZCY  
BIEGUNA

 SAGA  
EGMONT

Edmund  
Jeziernski

ZWYCIĘZCY  
BIEGUNA

 SAGA  
EGMONT

Edmund Jeziński

Zwycięzcy bieguna. Powieść  
fantastyczna

Saga

*Zwycięzcy bieguna. Powieść fantastyczna*

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi. W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1912, 2020 Edmund Jezierski i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726427141

1. Wydanie w formie e-booka, 2020

Format: EPUB 2.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą SAGA Egmont oraz autora.

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

# CZĘŚĆ I

# I.

## Fantazja magnata.

Dzienniki szeroko po kraju całym rozgłosiły wieść, że Stanisław Boniecki, znany ogólnie magnat, organizuje kosztem swym wielką wyprawę, zadaniem której będzie osiągnięcie pełnego tajemnic, niezbadanego dotychczas bieguna północnego.

Zrazu podano o tem krótkie, treściwe notatki, a gdy w dni parę nie nastąpiły zaprzeczenia, dzienniki zamieściły cały szereg artykułów, jedne, z entuzjazmem dla porywów polskiej myśli, która nie dała się w dążeniach swoich innym wyprzedzić; inne zaś z ironją traktowały te zachcianki magnata polskiego, porywającego się, jak twierdziły, bez żadnych widoków powodzenia, po laury Nansena i Peary'ego.

Uważano to tylko jako wybryk fantazji pańskiej, bez żadnego realnego znaczenia. Odzywały się nawet głosy, potępiające kategorycznie cały projekt, wychodząc z założenia, że setki tysięcy rubli pójdą zagranicę, bez najmniejszej dla kraju korzyści, że na zachciance magnackiej z bogacą się tylko obcy, a przede wszystkim Niemcy.

Wszystkim tym wieściom ani zaprzeczał, ani też przytwierdzał sam pan Boniecki, który stanowczo uchylał się od wszelkich wywiadów dziennikarskich, a otoczenie jego milczało jak grób i ani słówka wycisnąć z niego nie było można.

Powiększyła jeszcze bardziej tę burzę w szklance wody, pogłoska o osobie tego, kto miał stanąć na czele całej

wyprawy. Nazwisko Jana Stańczaka nie było nikomu znane. Nikt o niem nie słyszał i nie mógł nic konkretnego na razie powiedzieć.

Wszystkowiedzący jednak dziennikarze zaczęli zaraz szperać, szukać — i wnet do wiadomości publicznej podali, co następuje;

«że ów Stańczak był synem prostego chłopca, zagroda którego sąsiadowała z olbrzymimi dobrami pana Bonieckiego;

«że, spotkawszy go jako dziesięcioletniego chłopca w polu, zajętego paszeniem bydła, zachwycił się do tego stopnia dawanemi przez niego odpowiedziami, że zajął się losem jego i na swój koszt kształcić kazał;

«że po ukończeniu szkół w Warszawie, młody Stańczak, wciąż na koszt swego opiekuna, wyjechał do Paryża, gdzie wstąpił do Instytutu politechnicznego, który ukończył z odznaczeniem;

«że następnie zajął się sprawą budowy aeroplanów, a nawet dokonał w tym zakresie kilku wynalazków i udoskonaleń, przyczem zyskał opinię jednego ze zdolniejszych pilotów;

«że interesował się również marynarką, a nawet rok cały przesłużył jako ochotnik we flocie francuskiej;

«że zajmował się i naukami przyrodniczymi, oraz że napisał parę rozprawek w tym przedmiocie;

«że unikał przytem wszelkiego rozgłosu i mimo swych lat młodych, gdyż liczył ich zaledwie 26, dnie całe spędzał przy pracy w gabinecie, albo też w pracowni, urządzonej na tyłach wspaniałego pałacu pana Bonieckiego w Alejach Ujazdowskich.

Pochodzenie Stańczaka dolało jeszcze oliwy do ognia. Jakto, więc ten syn chłopski ośmiela się nakłaniać swego dobrodzieja do trwonienia pieniędzy na cele nieprodukcyjne!? On, ten nieznanany nikomu, ma stanąć na

czele tego przedsięwzięcia, z pominięciem tylu sław patentowanych, znanych nietylko w kraju, ale, ba! i za granicami jego?

I większość prasy miotała gromy potępienia na całe to przedsięwzięcie a z nią łączyła się i większość czytelników.

Tymczasem, gdy tak wszyscy gorąco roztrząsali kwestię całej wyprawy, w gabinecie pana Bonieckiego, przy biurku, założonem papierami oraz gazetami, w których czerwonym ołówkiem poznaczone były wszystkie artykuły, odnoszące się do zamierzonej wyprawy, siedział on sam, mężczyzna lat średnich, wyniosłej podstawy, o twarzy pięknej, orlich rysach, podobien do tych dawnych rycerzy kresowych, przodków swych, którzy piersiami swemi bronili i zasłaniali Rzeczpospolitą przed napadami pohańców.

Obok niego, z boku biurka, siedział młody mężczyzna, wysmukły o twarzy niepięknej, rysach grubych, lecz rozjaśnionych jakimś utajonym wewnątrz ogniem duchowym, płonącym w błękitnych oczach jego.

Pan Boniecki z uśmiechem ironicznym na ustach przeglądał wszystkie artykuły w dziennikach, wreszcie, zwracając się do Stańczaka, spytał:

— Cóż ty na to?

— Nic — odrzekł ten spokojnie — to co mówią o mnie, obojętnem jest dla mnie zupełnie. Przykrem mi jest tylko, że pan stał się z mojego powodu przedmiotem napaści.

— Mój kochany—odparł Boniecki z łagodnym uśmiechem —wiesz dobrze, że w czynach swoich nie zwykłem nigdy zważać na czyjeśkolwiek zdanie i że zawsze robię to, co uważam sam za stosowne i właściwe. I, dzięki Bogu, źle na tem nie wychodzę. Ta cała gadanina zasługuje tylko na to — dokończył zmiąwszy w jeden pęk wszystkie leżące na biurku gazety i wrzuciwszy je do stojącego obok kosza.

— Powiedz mi lepiej, jak ci się powiodło w podróży? — rzekł po chwili.



Stańczak poprawił się w fotelu.

— Udało mi się w Chrystjanji zdobyć kopje rysunków konstrukcyjnych «Frama» nansenowskiego. Dokonałem w nich niezbędnych poprawek i uzupełnień, odpowiednio do naszych celów i według nich zamówiłem nowy okręt w warsztatach okrętowych w Gdańsku.

— Dobrze zrobiłeś pochwalił go pan Boniecki, — lecz czy będzie gotów na czas?

— Właściciele zakładów przyrzekli mi wykonać go za półroku, a znając punktualność ich, można być pewnym, że dotrzymają obietnicy.

— Czy to Niemcy? — pytał dalej Boniecki.

— Nie — odrzekł Stańczak — znając i dzielając zapatrywania pańskie co do Niemców, wybrałem firmę, właściciele której są Mazurami z Pomorza, Mazurami, którzy zwycięsko oparli się fali germanizacyjnej i którzy w warsztatach swoich zatrudniają samych Polaków.

— Bardzo dobrze — jeszcze raz pochwalił go Boniecki — lecz jak będzie z załogą? Czy zdołasz ją skompletować z samych Polaków?

— To nie będzie trudne... Wszak na połowie okrętów, kursujących po Bałtyku i morzu Niemieckiem, załogi składają się przeważnie z dzieci Polski, z dzielnych Mazurów Pomorskich, o których matka Polska zda się zapomniała, a którzy, mimo to, od setek lat zwycięsko opierają się naciskowi Niemców. A wśród marynarzy Francyi, zwłaszcza między oficerami, iluż jest rodaków naszych?

Na pierwsze wezwanie stawią się ich dziesiątki. Na okręcie naszym, który ma wślawić imię Polski, nic nie może być obcego. Wybudowany z polskich sosen i dębów, z polskiego żelaza i stali, w polskich fabrykach, rękami polskich robotników wyrobione mieć będzie maszyny; aż do najdrobniejszych szczegółów wszystko z naszego będzie

materiału, w naszych wykonane zakładach. Załoga cała będzie polską, tak że dla niej pokład tego okrętu, rzuconego na burzliwe fale Oceanu północy, będzie częścią Ojczyzny, każdą cząsteczką swoją przypominać im ją będzie. Uczyni to ich odporniejszymi na niebezpieczeństwo, doda hartu i wytrzymałości w chwilach smutnych i ciężkich, jakie napewno nieraz w ciągu podróży napotkają.

Mówił z zapałem, który w zupełności przeobraził twarz jego, nadając jej wyraz jakiegoś uduchowionego piękna. Pan Boniecki patrzył na mówiącego z uśmiechem przyjaznym, a gdy skończył, rzekł:

— Masz słuszność, niech pokład statku tego stanie się dla nich częścią Ojczyzny, niech dążąc na nim naprzód, mają ją wciąż na myśli, dla jej dobra i pożytku pracują. Niech myśl o niej będzie najsilniejszą dla nich podniętą.

Wstał Stańczak, chcąc się pożegnać i wyjść z gabinetu, gdy naraz rozległo się dyskretne pukanie do drzwi.

— Proszę! — rzekł pan Boniecki.

Drzwi się otworzyły, stanął w nich lokaj w liberji i skłoniwszy się z szacunkiem, rzekł, podając bilet na tacy:

— Pan ten prosi o przyjęcie, ma ważny interes.

Boniecki wziął bilet do ręki, rzucił nań okiem i z pewnem zdziwieniem przeczytał:

*Joachim Narbutt*

*dr. nauk przyrodniczych.*

— Kto to jest? — zapytał, zwracając się do Stańczaka.

— Kto to jest? — odrzekł tenże — człowiek znakomitej wiedzy, przyrodnik i badacz, któryby zaszczyt przyniósł każdemu z uniwersytetów świata, wykładając w nim. Lecz tak umiłował Warszawę, że wszelkie propozycje odrzucał, a tu, u nas, dzięki panującemu dotychczas systemowi szkolnemu, kontentować się musiał, dla chleba, nauczaniem

w szkołach średnich. Cichy, skromny, oddany tylko nauce i badaniom swoim, zbogacił wiedzę wieloma dziełami, obfitującymi w mnóstwo zupełnie nieznanymi i oryginalnymi spostrzeżeniami. Niestety jednak, społeczeństwo u nas nie zwróciło na nie uwagi, zagranica tylko oddała hołd należny jego wiedzy, mianując go członkiem honorowym wszystkich prawie instytucji naukowych.

Ze zmianą stosunków szkolnych u nas, jakby odżył stary profesor, mogąc światło swej wiedzy przelewać w umysły młodzieży w ukochanym języku ojczystym.

Z uwagą wysłuchał pan Boniecki słów Stańczaka i i zwróciwszy się do lokaja, rzucił:

— Prosić!

Lokaj zniknął, a po chwili drzwi się rozwarły i na progu stanął mężczyzna, siwy jak gołąb, z krótko przystrzyżoną brodą, z twarzą pomarszczoną, lecz o oczach promiennych, młodzieńczych. Mimo, że barki jego okrywał stary, wytarty na szwach surdut. mimo, że postać jego sucha była, drobna i zawiędła z całej osoby jego bił taki majestat wiedzy, że Boniecki odruchowo prawie powstał z miejsca swego i skłoniwszy się z szacunkiem gościowi, rzekł:

— Witam pana... Proszę, zechciej pan zająć miejsce.

A gdy profesor usiadł, spytał:

— Czem mogę służyć?

Profesor milczał przez chwilę, jakby zbierając myśli, wreszcie rzekł:

— Dowiedziałem się, że organizuje pan wyprawę do bieguna północnego. Chciałem się dowiedzieć, czy to jest prawdą?

— Tak jest — odrzekł pan Boniecki — organizuję.

— A więc—tu profesor wyprostował w fotelu swą drobną postać, a oczy mu błysnęły mam do pana prośbę.

— Jaką? — zapytał Boniecki — z chęcią uczynię zadość każdej.

— Ażebym mógł również wziąć udział w tej wyprawie. Zdumienie błysnęło w oczach Bonieckiego. Przechylił się w tył i po chwili zapytał:

— Pan?.. profesorze?.. w wyprawie? Ależ to niemożliwe!

— Myśli pan, że nie wytrzymam trudów wyprawy? — spytał profesor — nie obawiaj się tego. Obeznany jestem z niemi a i zimno nie jest mi obce, zaznajomiłem się z niemi dobrze, gdym poniewolnie przemieszkiwać musiał w kraju Jakutów.

Tu pan Boniecki zwrócił pytający wzrok na Stańczaka, który przez cały ten czas siedział ukryty w cieniu. Młody człowiek zrozumiał zawarte w niemi pytanie i odrzekł:

— Udział profesora w wyprawie byłby z wielu względów nader pożądanym i cennym.

Profesor teraz dopiero zwrócił uwagę na niego i przypatrując mu się bacznie, po chwili zawołał z odcieniem radości w głosie:

— Ależ to Janek Stańczak, mój uczeń!

Staćzak wstał z miejsca i pochylając się do ramienia profesora, rzekł wzruszonym głosem:

— A więc pamiętasz mnie, profesorze? Nie zapomniałeś mnie przez przeciąg lat tylu!

— Jabym ciebie zapomniał?..—zawołał profesor — ciebie, który byłeś jednym z najlepszych moich uczniów! A toż zaraz, gdym tylko się dowiedział, że stoisz na czele tej wyprawy, powiedziałem sobie: Trzeba iść pogadać z Jankiem, on mnie zrozumie i zabierze z sobą, bym tam, pod biegunem, mógł prowadzić me badania. Daruj staremu, że nie poznał cię odrazu, ale siedziałeś w cieniu, a przytem zmieniłeś się bardzo przez ten czas.

Pan Boniecki z uśmiechem słuchał słów starego profesora, a gdy ten skończył, rzekł:

— No, wobec decyzji przywódcy wyprawy, kwestja została załatwioną. Profesor przyjmuje w niej udział. Tylko

proszę być gotowym na czas.

— A kiedy wyruszamy? — spytał profesor.

— Najwcześniej za pół roku—odrzekł Stańczak— na ten czas wykończony będzie nasz okręt, oraz aeroplany, z motorami specjalnej konstrukcji o znacznej sile nośnej. Przytem na biegunie zacznie się wtedy lato...

— Za pół roku — rzekł profesor — a więc będę miał czas zaopatrzyć się we wszystko, co mi do badań moich będzie potrzebnem.

— Tak, a my zarezerwujemy dla pana profesora specjalną kajutę na okręcie rzekł Stańczak.

Profesor wstał i podając rękę panu Bonieckiemu, rzekł:

— Dziękuję panu raz jeszcze za wysłuchanie mej prośby — i żegnam.

— Dowidzenia, raczej—odrzekł p. Boniecki, ściskając gorąco dłoń jego — wszak przed wyjazdem zobaczymy się nieraz.

— Być może — odparł profesor i uściskawszy rękę Stańczaka, wyszedł.

— No — rzekł po jego wyjściu Boniecki — wyprawa nasza przyciągać zaczyna ludzi prawdziwej wiedzy, którzy zapatrują się na nią trochę inaczej, niż gazeciarze.

— Tak jest —rzekł Stańczak — a udział takich ludzi, jak profesor Narbutt, ze wszech miar jest pożądanym i cennym!

Powstał znów, by się pożegnać, gdy znów rozległo się pukanie.

— Cóż tam nowego? —zawołał Boniecki — proszę!

Wszedł służący, niosąc na tacy kopertę i podając ją, rzekł:

— Teraz, to jakiś bardzo dziwacznie wyglądający pan przyszedł i prosi o widzenie. Gdy prosiłem go o bilet, rzekł, podając mi tę kopertę: «Oddaj ją, wystarczy to za wszelką rekomendację».

Zaciekawiony niezmiernie pan Boniecki, wziął ową kopertę do ręki i rozerwał ją. Znajdowała się w niej cienka, błyszcząca blaszka metaliczna, która, gdy ją położył na biurku, powoli unosić się poczęła do góry.

Zdumionemi oczami wpatrywali się wszyscy w to niezwykle zjawisko, wreszcie Stańczak z trudem wykrztusił:

— Metal... lżejszy od powietrza...

Pan Boniecki, zwracając się do niemniej zdumionego tą sceną lokaja, zawołał gorączkowo:

— Proś tego pana, proś jaknajprędzej!

Lokaj wypadł, a po chwili na progu gabinetu ukazała się dziwna zaiste postać.

Był to mężczyzna niskiego wzrostu i nadzwyczaj chudy. Twarz jego, pomarszczoną, o żółtej, prawie oliwkowej cerze, rozjaśniały płonące gorączką czarne oczy, które krył za szklami okularów niebieskich. Lata jego trudno było określić, gdyż mógł ich mieć zarówno dwadzieścia parę, jak i sześćdziesiąt kilka. Bujne, kruczej czarności włosy opadały mu w nieposłusznych promieniach na czoło, skąd je coraz odgarniał na tył głowy. Ubrany był w surdut, za obszerny na niego, barwy niegdyś czarnej zapewne, a obecnie zielonkawej, pełen plam i wypaleń, spodnie niemniej poplamione i wystrzępione u dołu, oraz wykoszlawione obuwie.

— Ha, ha, ha... — zaśmiał się cicho, spostrzegłszy pełne zdumienia miny Bonieckiego i Stańczaka, wpatrujących się w błyszcząca pod sufitem blaszkę — ładny metal, co? Sam sobie fruwa, bez motorów żadnych i skrzydeł... ha, ha, ha...

— Panie! — zawołał Stańczak, chwytając go za rękę — powiedz, błagam cię, że to nie omamienie, że mnie wzrok nie myli... że to, co tam, u góry jaśnieje, to naprawdę metal...

Twarz przybysza spoważniała, znikł z niej uśmiech; z powagą wskazując na blaszkę, odrzekł:

— Przysięgam panu, jakim Michał Jerlicz, że to jest metal: twardy, dający się kuć, wynaleziony przeze mnie metal...

— W takim razie — rzekł z zapałem pan Boniecki, wlepiając wzrok w twarz jego — jesteś pan jednym z największych wynalazców naszego wieku!

— Tego nie wiem — odrzekł Jerlicz — wiem cały szereg lat dokonało się tego szukałem rozgłosu, ani majątku, gdyż to mi niepotrzebne, lecz teraz, gdym posłyszał, że się organizuje nowa wyprawa, wyprawa polska, mająca na celu wydarcie naturze jej tajemnic, pomyślałem sobie: a nuż mój wynalazek na coś się przyda?

I oto przychodzę z nim do was.

Poczem zwracając się do Stańczaka, spytał:

— Wszakżeż, po dopłynięciu okrętem dokąd tylko można będzie, ma pan zamiar dalszą podróż odbywać na aeroplanie?..

— Skąd pan to wie? — zapytał zdumiony Stańczak.

— Panie, jeżeli kto tak, jak ja, całe życie siedzi w zamknięciu, oddany jednej tylko pracy, nad wydarcie naturze jej tajemnic, ten z musu staje się domyślnym i badawczym. Zanim przyszedłem tu do panów, starałem się przedtem dowiedzieć, coście za jedni i czy można wam zaufać... I oto dowiedziałem się wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Bierzcie mój...

Tu mowę jego przerwało wejście lokaja, który niósł depeszę.

— Depesza, Jaśnie Panie — rzekł — woźny z telegrafu mówił, że pilna bardzo.

Boniecki rozerwał opaskę i ze zmarszczoną brwią przebiegł szybko wzrokiem treść depeszy, poczem podał ją Stańczakowi. Ten odczytał ją głośno. Brzmiała jak następuje:

*Berlin, dn. 26 września 191... r.*

*Boniecki. Warszawa.*

*Królewska Akademia Nauk w Prusach,  
dowiedziawszy się o organizowaniu polskiej wyprawy  
do bieguna, wysłała takąż samą z Hamburga, by nie dać  
się ubiedz. O ile słyszałem, Prusacy mają zamiar odbyć  
podróż na balonie Zeppelina nowej konstrukcji.  
Szczegóły przyślę później.*

Galski.

Na Bonieckiego i na Stańczaka depesza ta wywarła wielkie wrażenie, lecz dla Jerlicza była prawie piorunującą.

— Co?! — zawołał gorączkowo, wysłuchawszy jej. — Prusacy chcą się z nami ubiegać o pierwszeństwo? Chcą nam je wydrzeć. Niedoczekanie ich... Zobaczymy to... Panowie, bierzcie moje wynalazki, róbcie co chcecie, tylko nie pozwólcie im odnieść zwycięstwa nad nami!

A po chwili, ochłonawszy z uniesienia, ciągnął dalej:

— Prawda, wy nie wiecie, jakie one są... To, co tam buja u sufitu, to mała próbka tylko... Przyjdźcie jutro do mnie, do Mokotowa, pytajcie się o laboratorium Jerlicza. Tam wam wszystko pokażę. A teraz do widzenia. Nie, nie będą oni tryumfować... nigdy... jakem Jerlicz!..

I kiwnąwszy głową na pożegnanie, odrzu ciwszy w tył nieposłuszną czuprynę, wybiegł z gabinetu.

Boniecki i Stańczak pozostali sami. Przez chwilę trwało milczenie, wreszcie pierwszy spytał:

— Szaleniec to, czy genjusz?..

W odpowiedzi na to Stańczak wskazał tylko na błyszczącą u sufitu blaszkę metalową, jakby przecząc pierwszemu twierdzeniu.

-----



## II. Genjalny wynalazek.

Za rogatkami miejskimi, za opuszczonemi cegielniami, wśród niskich domków kolonistów i otaczających ich ogrody parkanów, mknął wytworny samojazd, w którym zajmowali miejsca, oprócz palacza, Boniecki i Stańczak.

Zatrzymali się na chwilę, zapytując spotkanego po drodze człowieka, gdzie może się znajdować laboratorium Jerlicza.

Ten spojrział na nich ze zdziwieniem a nawet z pewnym przestraczeniem, i wskazawszy im ręką kierunek, czempędzej poszedł dalej, jakby obawiając się czegoś.

Stanęli przed wysokim, z grubych, na czarno pomalowanych desek zbudowanym parkanem, zaopatrzonym u góry w gęste, ostro zakończone gwoździe. Brama i furta mocno okute żelazem, sprawiały wrażenie jakiejś niedostępnej fortecy.

— Ho, ho, nasz wynalazca musi tam kryć skarby nielada, kiedy się tak obwarował na wszystkie strony — zauważył Boniecki na widok siedziby Jerlicza.

Wysiedli z samochodu i zbliżywszy się do furtki, pociągnęli za wiszącą przy niej rączkę dzwonka.

Odpowiedzią było im głośnie ujadanie całej sfory psów.

Czekali dość długo, aż wreszcie dał się słyszeć trzask jakiś, ukazał się w furtce otwór niewielki, błysnęło w nim oko i czyjś gruby głos spytał:

— A czego tam?

— Do pana Jerlicza — odrzekł Stańczak — proszę wpuścić.

— A kto taki? — zapytał znów tenże sam głos.

— Z Alei Ujazdowskich, proszę zameldować lub otworzyć furtkę — niecierpliwie zawołał Boniecki.

Długo jeszcze czekać musieli, aż wreszcie zazgrzytał klucz w zamku, otworzyła się furtka i na progu ukazał się Jerlicz, w bluzie robotniczej, poplamionej i podartej.

— Ach, to panowie — zawołał, wyciągając do nich rękę na powitanie — nie spodziewałem się was dziś. Pozwólcie, proszę, dalej, do mojej pracowni.

— Hej, Andrzej!—wołał następnie do stojącej na boku jakiejś ponurej postaci — uspokój psy i przyjdź do laboratorium.

Nerwowo ruchliwy, opowiadając coś żywo z gestykulacją, Jerlicz wiódł swych gości do tak zwanej pracowni.

Boniecki ze Stańczakiem ciekawie rozglądali się wokoło. Dziedziniec zarosły zielskiem i trawą, zapuszczony był do ostatecznych granic. W głębi znajdował się budynek o wielkich zakratowanych oknach, zbudowany z czerwonej cegły, zakończony z jednej strony przybudówką, oszkloną prawie że ze wszystkich stron, z drugiej zaś, wyniosłym kominem fabrycznym, z którego szedł dym.

— Ależ do pana trudno się dostać —rzekł Boniecki — zupełnie jak do jakiej fortecy!

— Trudno, panie, trudno—odrzekł ten z zagadkowym uśmiechem—za wielkie tu się mieszczą skarby, muszą też być odpowiednio strzeżone!

Stanęli na progu olbrzymiej, oszklonej zewsząd sali, na środku której stały wielkie stoły, założone rysunkami i papierami z wyliczeniami, po bokach modele maszyn o dziwnych, potwornych kształtach, niewiadomego przeznaczenia.

Pod jedną ze ścian wznosił się olbrzymi piec do doświadczeń chemicznych, pełen retort, napełnionych różnobarwnymi cieczami. Przez duże szklane drzwi widać